Rozmaitości

Dnia 20. Marca | Ner. 12. | Roku 1841.

LEW I CZŁOWIEK.

Pustynie Afryki maluje Humboldt kilku mistrzowskiemi rysami: przez tę niedostępną, piasczystą równinę, błądzą w nierównéj walce, trzody lotnych gazeli i stada strusiów, lwy i tygrysy.

Kiedym książkę odłożył na stronę, myśląc o niegościnnym lądzie téj części świata, przypomniałem sobie człowieka, którego pan J. Arago poznał w czasie podróży swojéj, odbytéj do koła świata, na »Przylądku dobréj nadziei.« Człowiek ten zwał się Ruwier; Francuz, ale tam urodzony i wychowany. Na nimto z-iściła się ta prawda, iż wiek i okoliczności miejscowe, tworzą zawsze takich ludzi, którzy odpowiadają potrzebie czasu i kraju. Nigdzie i nigdy nie bywa takich ludzi na kopy; na »Przylądku dobréj nadziei«, żył pod ówczas jeden taki człowiek — świętéj woli, cały oddany usłudze bliźnich. Byłto człowiek, który się nie bał wściekłości wzburzonego morza i zajadłości lwiéj paszczy. Cała ludność tameczněj okolicy, znała w nim dobroczyńcę swego; w każdéj ciężkiéj potrzebie stawał on się dla wszystkich aniołem ratunku. Nie znał niebezpieczeństwa, kiedy chodziło o wybawienie drugich z niego. — Gdzie Bóg lwa stworzył, tam dał i człowiekowi lwie serce, lub obojętność Murzyna. Ruwier miał lwie serce, odwagę, która się przysłowiem stała; a jednak nie rzucał on się nigdy w niebezpieczeństwo dobrowolnie, tylko z potrzeby, i znał całą jego groźną stronę. W pożyciu był łatwy i cichy. Powierzchowność jego była zajmująca; silnie zbudowany, ale wyschły pod skwarněm niebem; nosił on zwykle strój lekki, obyczajem osadników tamecznych. Twarz miał piękną, szlachetną, ściągłą; oczy czarne, żywe, ogniste; czoło wysokie, skronie przyschłe, brwi w pięknym łuku mocno przerosłe, nad orlim nosem, jednym wyrazistym zmarszczkiem spojone; usta małe, nieco rozwarte; długie krucze włosy, które w lekkich kędziorach opływały głowę, nosił z czoła wtył odrzucone i to nadawało całéj jego twarzy jakiś śmiały i dziwnie zajmujący wyraz. Płeć jego była żółto-smagła.

W czasie burzy morskiéj błądził on zwykle niespokojnie po wybrzeżach, upatrując rozbitych okrętów lub łodzi; kiedy przez rynki, ulice, lub osady przechodził, szukały oczy jego niebezpieczeństwa, lub cierpiących. Wszyscy znali go: biali i czarni, i wszyscy wielbili go; nie było człowieka prawie, któremuby w ciężkim razie nie był przyniósł pomocy. Każdy opowiadał coś o nim: ten, że go z fal morskich w czasie burzy wyratował; ów, że mu zgubioną rzecz z dna morskiego wyniósł, że łódź ładowną od brzegu oderwaną złapał, że go obronił od przemocy możnego, lub złego, że go wyniósł z ognia, lub wydarł z lwiéj paszczy.

Znać też to było po nim — nalegał lekko na nogę, w skutek rozprawy z tygrysem, który osadę niszczył i już na trójząb nadziany, udo jego przeżarł! Na twarzy miał szram głęboki, od dzikiego bawołu, który się zbujał i wpadłszy na rynek ludzi rozbijał; Ruwier ubił go, ale szram pozostał

na twarzy. Prostując się, ściągał często łopatką, którą miał nadwerężoną; w czasie, gdy młodą kobiétę z morza wynosił, cisnęła nim fala silnie o skaliste brzegi i strzaskała łopatkę. U lewéj ręki nie miał dwóch palców, które mu pies wściekły pogryzł, w czasie, kiedy dzieci bawiące się w piasku, od niego obronił. Ruwier ubił psa a potém chwycił za topor i odciął sobie sam palce.

Zdało się, że przeznaczenie stworzyło Ruwiera, na nieodstępnego świadka grożącego ludziom niebezpieczeństwa — Wiecznie był on téż uzbrojony: dwa pistolety za pasem, dubeltówka na ramieniu, ostry żelazny trójząb na plecach — tak opatrzony, przy swojéj odwadze mógł Ruwier odbyć podróż do koła kuli ziemskiéj.

W salonach ambasadorów i majętnych osadników, przyjmowano go ze czcią, bo obok zasługi swojéj, miał on tę cywilizacyję i łatwość pojmowania wszystkiego, która niepowszednim ludziom daje pewien rodzaj jenijalności i wyższości ducha, nawet bez nauki i wprawy; kiedy szedł przez ulice, cisnął się każdy do uściśnienia téj ręki, która wszystkim ratunek i pomoc nieść była gotową — ten zapraszał go na obiad, a ów na wieczór. Każdy rad go widział u siebie i na całym przylądku był on u wszystkich niby we własnym domu; ale i przykre miewał Ruwier chwile, o zbliżeniu się burz i nawałnic tak częstych na przylądku dobréj nadziei, ostrzegały go jego blizny; w ówczas napadał go jakiś niepokój, w nim wybiégał na brég morski, wyglądał burzy i rozwiązania swych cierpień. Z pewnym rodzajem radości rzucał się w ówczas w morze na ratunek drugich — pływał jak łabędź — nurkował jak ryba — a kula jego trafiała jak wzrok. Przecież nie ceniono w nim ani pływaka, ani nurka, ani strzelca, tylko człowieka! — Szlachetność swoję posuwał do tego stopnia nawet, iż w spotkaniu się z lwem nie chciał iść zdradą, ale siłą i odwagą. — Zapytany, czy czuł téż kiedy trwogę w sercu, przyznał się nie tylko do trwogi ale nawet do zdrady, któréj sobie nigdy nie mógł przebaczyć.

Raz wracał przed zachodem słońca z odległéj osady do miasta, i kiedy skalisty wąwóz przechodził, posłyszał mocne chrapanie w małéj grocie, którą miał mijać; rzucił okiem i spostrzegł śpiącą lwicę, która po upale dziennym ziajana usnęła; nie myśląc długo przyłożył pistolet do jéj ucha i wypalił. — Lwica ani drgnęła. — Strzałem ocucony wypadł lew ogromny z wyłomu pobliskich skał, i krwawe było spotkanie. »Omal, że nie zostałem ukarany« mówił Ruwier — »nigdy nie byłbym téj lwicy ubił, gdybym był pomyślał choć chwilę nad tém, co robię — Otóż w ówczas byłem tchórzem, bo zdrada i tchórzostwo to rodzone bractwo. — Jedna to zdrada, którą w życiu popełniłem, ale nigdy nie przebaczę jéj sobie.« Przyjaciele jego chcieli mu wybić z głowy te szlachetne urojenia, lecz on mówił im: »Nie moi panowie — kiedy ktoś bawołu zabija — to chodzi o mięso — kiedy tygrysa, to chodzi o skórę — a lew to nieprzyjaciel, tu chodzi o wydarcie żywota; a kto żywot wydziéra dla życia, niech swego nadstawi. Nieprzyjaciela nie zabija się śpiącego, a nieprzyjaciel taki jak lew, widzi Bóg, że wart spotkania!«

Raz wyprawił się Ruwier z *Table-Bay* do *Fals-Bay* i płynął w małéj łódce wzdłuż wyżłobionych wybrzeży morskich, uzbrojony po swojemu. — W tém posłyszał na odludnym brzegu jakiś łomot w gęstwinie, i stłumiony ryk lwa; »to lew cieszy się na łup«, rzekł do siebie, »ofiarę obronić należy!« Przybił do brzegu, a wyskoczywszy na ląd, rzekł spojrzawszy w niebo: »Bóg niech tu będzie trzecim!« Kiedy lew na czatach chce złudzić swą zdobycz, ryje dół pazurami w ziemi, zagrzebuje weń paszczę i ryczy, a to wydaje tak zwodniczy odgłos na pustyni, iż nie wiedzieć, zkąd wychodzi i dokąd się schronić. Ruwier obejrzał broń i przyspieszył kroku pewny rychłego spotkania. Ucichło — a po chwili odbiły bliskie skały na nowo, ale już nie stłumiony ryk, i ogromny lew wypadł na niego — spojrzał, wzniósł łeb ku górze i zatrzymał się poważnie.

»Do licha!« mruknął Ruwier, »to lew! Rozprawa będzie ciężka«, chwycił za broń cofnął się na krok i wziął lwa na oko.

Lew postąpił naprzód wymierzonym krokiem., Ruwier stał w miejscu i lew się zaciął.

Nagle ryknął powtórnie — uderzył się zjadle ogonem po biodrach, oczy jego za-

grały — odskoczył w bok i zginął w rozpadlinach skał.

»To jak widzę nie takie złe dziecię jak sądziłem« uśmiechnął się Ruwier i chciał wracać do łodzi, lecz zaledwo że się zwrócił, a lew stanął powtóre przed nim.

»To się źle skończy, my gramy chowanego, ale ktoś tu lęgnie« mruknął Ruwier i cofnął się znowu o krok.

Lew przyskakiwał do niego podobnie jak młody pies, który się chce bawić z człowiekiem ręką podraźniony.

Trójząb był już wbity na strzelbę; gotowo stał Ruwier, złożył się i czekał spotkania, lecz chciał lwa przetrzymać.

Lew pojrzał mu w oczy,—ryknął i w podskokach oblatywał poblizkie łomy skał, a potém rzucił się nagle naprzód i zbliżył się jeszcze bardziéj i stanął.

»Co teraz to dosyć tego« rzekł Ruwier, wyrzucił pistolety z zapasa na ziemię obok siebie, oparł się plecyma o wklęsłość przodem pochylonéj skały, przykląkł na jedno kolano,—dwa razy łusnął kurek, palec na cynglu a oko na lwie.

Lew zjéżył grzywę, szerść zburzyła się na nim, z-żymał się — piersi jego grały — boki robiły jak w locie — széroko rozwarł zjejącą paszczę—przypadał do ziemi — wznosił się zwolna i zjadliwie i utopił głęboko wzrok w oko Ruwiera. Z zimną krwią, niewzruszony, nie zmieniając postawy, utopił Ruwier potężny i spokojny wzrok grotem, w grających ślipiach lwa, które się po nim toczyły i już tylko przestrzeń trzech kroków przedzielała obu.

Ruwier nie chciał wypalić, lew nie śmiał się rzucić. Długo trwała ta chwila niemej rozmowy, piersi lwa grały niepewnością, wzrok człowieka zwyciężył i Bóg był tu trzecim!—Lew ryknął okrutnie, zwinął się w kłębek, rzucił się w bok i uszedł trwogą przejęty w głębię pustyni. A kiedy jeszcze żar paszczy jego owiéwał twarz Ruwiera, wtedy myślał on sobie: — co téżto na to przyjaciele moi powiedzą, jak im to opowiém!— a potém powstał, otrzepał suknie, zatknął pistolety za pas i wrócił do łodzi.

»Czy mu to wierzyć można?« zapytacie mnie zapewne, ale ręczam was, iż temu, co się pojedyńczo na puszczy z lwem spotykał, a na znak spotkania lwią grzywę do domu przynosił, albo z paszczy jego uwolnionego człowieka z sobą przyprowadzał, można wierzyć wszystko.

W jednéj wyprawie podobnéj towarzyszył mu sam pan Arago i był naocznym świadkiem jego odwagi. — Cała mała karawana wyprawiła się na to polowanie; wzięto wóz bawołami zaprzężony, zabudowany i strzelnicami opatrzony, z którego zwyczaj jest, bronić się, kiedy jest spotkanie z licznym nieprzyjacielem; na tym wozie złożono żywność, broń palną i groty. Kaffrów i Hottentotów było ośmnastu, Europejczyków i osadników przylądku czternastu. Ruwier dowodził tą wyprawą, a sprawny Kaffr, który w całéj okolicy słynął ze znajomości dróg i wyśledzenia lwów, na pustyni był przewodnikiem. Około południa stanęła cała karawana w pomieszkaniu pana Klarick, gdzie wyborne znalazła przyjęcie. O trzeciéj z południa ruszyli daléj, a przebywszy gęste zarośle, ujrzeli się w kraju zupełnie dzikim; rzekę Słoniów mieli po lewéj ręce i ciągnąc wzdłuż jéj krętych wybrzeży, polowali mimochodem na hipopotamy, które te okolice zaludniają. Wieczorem przybyli do bogatéj osady p. Andrew, który z wielką gościnnością dla przyjaźni Ruwiera całą karawanę podejmował i do zabawienia w swoim domu zachęcał, upewniając, iż od dwóch tygodni nie słyszy już nawet, ażeby mówiono o jednorożcach, tygrysach lub lwach. Ruwier jednak kazał ruszać daléj. »Ja muszę mieć koniecznie lwa, chociażby miał być tak małym i łagodnym jak jagnię.«

Widoki kraju poczęły się zmieniać, lasy rzadły i rozległe piaszczyste okolice odkryły się w koło; upał był nieznośny. Noc przebyła karawana pod gołém niebem; na matach rozciągnięta obozowała — oczekując dnia. »Spoczywajcie« rzekł Ruwier, »bo jak do rozprawy przyjdzie—nie zechce się spać nikomu« i czuwał za wszystkich. O świcie spłoszyła jakaś trwoga cały obóz ze snu.

Ruwier spojrzał na bawoły pasące się w pobliżu i rzekł spokojnie: »Nie lękajcie się,.nie ma tu ani tygrysa ani lwa w pobliżu — bawoły te wiedziałyby o tém najlepiéj, a one pasą się spokojnie. Zapewne pękł jakiś meteor w powietru i postraszył nas.«

Dnia trzeciego stanęła cała karawana u pana Anderson, który wprawdzie kochał Ruwiera, luboby mu za żadną cenę nie towarzyszył na polowaniu w pustyni. Kiedy u stołu siedzieli, wpadł Murzyn z doniesieniem, iż właśnie w téj chwili posłyszano w poblizkiéj pustyni ryk lwa.

»Witaj nam!« krzyknął Ruwier i zerwał się nagle od stołu; oczy jego rozświeciły się ogniem wesołéj odwagi. — »Do broni!« zawołał, »niech ruszą bawoły, a teraz baczność na moje rozkazy.«

Wyruszyli. — Pan Anderson pozostał w domu, kilku niewolników osady jego przyłączyło się dobrowolnie do téj wyprawy, a jako świadomi miejsca, słysząc ryk w gęstwinie, rzucili się w las dla wypłoszenia lwa na czyste pole.

Miejsce, na którém się ujrzeli po chwili, było z jednéj strony lasem otoczone, a z drugiéj samémi skałami półkolem opasane.

Ruwier kazał się wstrzymać i rzekł: »Teraz wykonywać co ja każę, inaczéj nie ujrzycie przylądka« — Rzucał niespokojnie okiem na okół, zagryzał usta i garnął włosy niecierpliwie z czoła.

Tu ozwał się ryk lwa, a Ruwier rzekł: »Nieprzyjaciel jest blizko! Tam na bok bawoły — wy tu stańcie obok siebie! Broń opatrzyć — Kaffry, Hottentoty w tył, a strzelby odwodowe mieć w pogotowiu — jak piérwszy szereg wypali — drugi poda broń! Ja się spotkam z nim piérwszy, ale na miłość Boga zaklinam, niech mi nikt w pomoc nie bieży, jak będę w niebezpieczeństwie. Twardo stójcie przy sobie chłop przy chłopie. — Nagich zasłonić sobą!«

»Cicho! lew ryknął — a teraz patrzcie na bawoły.« Zwierzęta stworzone ścisnęły się razem, głowy przypartszy do środka koła, jak gdyby chciały uniknąć widoku grożącego im niebezpieczeństwa.

»Spieszy się widzę, musi być silny i wkrótce ujrzymy go«, mówił daléj zaciérając ręce, »potrzeba go przywitać jak należy.« Gdy się w pobliżu powtórny ryk lwa ozwał, rzucił Ruwier kapelusz na stronę i chwycił za broń, a lew wysunął się z lasu i ujrzawszy ludzi, zbliżał się wolno, z namysłem, spojrzał i legł.

W téj chwili trza było widzieć Ruwiera i podziwiać zimną krew jego — boską energiję!

»To gracz!« rzekł Ruwier wpatrując się w lwa, »on zna się widzę z ludźmi i spotykał się już nieraz. — Idźmy na jego spotkanie — ale w ściśniętym szyku — człek przy człeku — zmusim' go do powstania.«

Lew powstał — i zbliżył się nieco.

»Cel!« zawołał Ruwier i przykląkł przed szeregiem na jedno kolano — »wytrzymać! a jak krzyknę: pal! — dajcie salwę.«

»Baczność! tuj! — cel! — pal!«

Po wystrzale przemieniono broń — lew dał susa w górę i tylko kudły rozleciały się w powietrzu.

»Twarda bestyja!« jęknął Ruwier; »patrzcie nie upadł!« — Lew ryczał, a ryk jego przerywał krótki oddech i boleśny jęk — ogonem bił się po biodrach — rozwarł czerwoną paszczę, ozór jego latał jak żądło gadziny — a palące oczy jego toczyły się kołem.

Nikt nie puścił tchu — nikt nie zwrócił oka.

A Ruwier chcąc widzieć, jakie wrażenie ten widok lwa sprawia, zwrócił się ku szeregowi i zapytał: »A co? — czy żwawo bije serce? Śmiało! wnet skończym' z nim.«

Tymczasem jak ze źródeł biła krew z ran i rumieniła piasek do koła.

Tu krzyknął Ruwier: »Wszyscy razem w łeb, albo blizko łba!« — Lecz nim jeszcze dał hasło, wypadła broń z ręki jednego z stojących w piérwszym széregu — strwożony chciał ją pochwycić, a schylając odkrył nagą pierś stojącego za nim Kaffra. — Na ten widok, spiął się groźny lew przodem, widok nagiego ciała podraźnił jego srogość, zapragnął krwi, nozdrza pryskały krótkim oddechem — wyciągnął się długo, zebrał się w sobie — spojrzał w prawo — zaciął się i piersi jego grały głośno przez chwilę.

»Miedzy nami jest człowiek zgubiony!« rzekł z-cicha Ruwier.

»To ja!« — jęknął biédny Kaffr w drugim szeregu. —

Tu cisnął się lew — grzywy jego rozrzuciły się széroko, ich fala nakryła Ruwiera, przeskoczył go jak kula kozłem odbita od ziemi — obalił ośmiu piorunem, chwycił Kaffra w swe szpony i skoczył z nim w bok.

Ruwier postąpił naprzód — »baczność!« krzyknął — »kto gotów — tuj! cel! pal!«

Lew upadł na strzał, i porwał się w téjże saméj chwili — a począł się bawić Kaffrem jak kot myszą. »Tu trzeba zgryźć orzech«, rzekł Ruwier, dobył pistolety, poskoczył, »ani mi drgnij!« krzyknął na Kaffra i wypalił z obu pistoletów w ślipie lwa.

Tu nastąpiła chwila milczenia — lew ryknął — odpadł od Kaffra — wyciągnął się na piasku, jak struna, jęknął raz jeszcze i zdechł.

»A co moi panowie«, rzekł Ruwier odwracając się od lwa, »czyście już spokojni? — O to jest dramat prawdziwy — dramat w naturze — dramat z krwią. — Walka z lwem bywa częstokroć podobną do walki z burzą morską — nikt nie jest w stanie, żeby sobie odmówił raz w życiu osobliwego jéj widoku — ale kto raz przebył burzę na morzu lub spotkał się z lwem — namyśla się długo, nim się po raz drugi na taką grę narazi.«

Po tém polowaniu powrócili bez przygody do »Przylądka dobréj Nadziei«, straszliwa burza gromadziła się na niebie, blizny poczęły dokuczać Ruwierowi, a po bezsennie przepędzonéj nocy, stał on niespokojny na szczycie nadmorskiéj skały i wyglądał burzy. ***.

PANNA GEORGE.

Wypis z dzieła: *Dramaturgische Blätter* przez Ludwika Tieck z roku 1817.

Teraz, kiedy się ten rzadkiéj wielkości kometa i na naszym dramatycznym horyzoncie pojawił, a my go przez samo już uszanowanie dla powszecznego podziwu, jaki u nas swoją świetną łuną wywołał, pod astrolab uwag naszych brać nie śmiémy; teraz nie od rzeczy będzie, że tu dla naszéj publiczności, któréj sądy przez pryzma poglądu są rozstrzélone, przytoczymy jednego z estetycznych zasad wychodzących dramatyków niemieckich, następujące zdanie.

»Przecież raz (mówi L. Tieck) miałem to szczęście w mojéj artystowskiéj podróży przydybać w Strasburgu owę sławną pannę George. Byłto zaiste dziwny i rzadki przypadek, gdyż dawano jednego i tegoż samego wieczora dwie wielkie trajedyje w 5 aktach, w których p. George w głównych rolach w popis wychodziła. Grała bowiem i w *Machabeuszach* matkę męczenników i w *Makbecie* lady Makbet. O godzinie pół do szóstéj rozpoczęto widowisko, które się dopiéro aż o pół do jedynastéj skończyło, i wyznać muszę, że ten wieczór będzie dla mnie na zawsze pamiętny, gdyż nigdym jeszcze w życiu mojém tak wielkich wrażeń nie pobiérał, nigdym jeszcze nic podobnego w tym rodzaju nie widział i nigdym tak dziwnych wzruszeń nie doznał. Ileżto razy po przed oczy nasze nie przesnwają się dzieła sztuki, które tylko przyjemne wrażenie, miły podźwięk w nas zostawiają; niektóre wzruszają nas tylko częściowo, niektóre zaś tylko wydatniejszémi miejscami głębsze w nas wrażenie sprawiają; jednakże wszelka całość, jużto przez roztargnienie naszego umysłu, jużto przez powrót do zwyczajności, zawsze nam znowu w zapomnienie idzie. Ale tą razą, chociażto była całość w najdziwniejszy sposób i niesłychanego dla mnie rodzaju, przecież nie byłem nią bynajmniéj ani w mojém rozdraźnieniu ukojouym, ani w mojém oczekiwaniu zadowolonym, i owszém przeciwnie, to wielkie zjawisko szarpało boleśnie raz po razu uczucia moje, a moje zdziwienie przez to nieustanne uderzanie nadzwyczajnością, było mi właśnie w przeszkodę, żem prawdziwego zachwycenia nie uczuł, i że dla mnie wszelkie uniesienie, prawie niepodobieństwem się stało.

Panna George jest kolosalnego wzrostn i nad miarę dobréj tuszy, lecz widać jeszcze, że kiedyś piękną była. Twarz jéj, a szczególniéj oko, pełne wyrazu; spojrzenie wielkie, w gniewie i zgrozie straszne, a pogarda, którą w nie włożyć umié, jest zabijająca. Jéj gra szczytna, potężna, ale wszystko idzie pośpiesznie, gwałtownie i rzadko namyślnie przygotowane; tylko czasem gdzie niegdzie jest upośredniony przechód z jednéj ostateczności w drugą. Głos jéj, głęboki alt, który nigdy ani nieprzyjemnym ani wrzaskliwym się nie staje, a tak jest potężny, że w wykrzykn gniewu lnb boleści, nawet przy wygłoszeniu wyrazu: *Ach!* cała sala w ścisłém tego słowa znaczenin, wygłos ten odtętnia i najmniejsze westchnienie boleści lub jęk zgryzoty, głośno i silnie w przestrzeni się rozléga. Skoro ten olbrzym niewieści wystąpił na scenę, wszyscy obok niéj aktorowie, jak karły pokleśli, a nawet niejeden pełny, męzki głos w mdłe świégotanie zmalał. Albowiem nie jestto tylko sam potężny głos, którym ona nadzwyczajne wrażenie sprawia, lecz sposób, w jaki tego głosu używa, w jaki go wytrzymnje, wydaje, i w jaki mowę swoję nadspodziéwanie do większéj jeszcze siły wzbija, a potém kończy z taką mocą, jakiéjby się po takiém wysileniu, nikt ani mógł spodziéwać.

W tenże sam sposób używa giestów i mimiki. Wtedy, kiedy w gniewie pospiesznym krokiem idąc, nagle na spół grającego z nią aktora, iskrzącém okiem potoczy, wznieca przestrach i zgrozę; w żadnéj postawie nie trwa długo, żadnym giestem nie przechodzi w drugi; wszystko u niéj odskokiem, wszystkiém udérza niespodzianie, zadziwia, i jak głosem swoim z powolnego tonu nagle z przestrachem w natarczywą burzę i wichr grzmiących słów przechodzi, i jak szybko, prawie niedosłyszalnie w nawał uniesienia idzie, tak też wezbraną powódź tę, serce rozdziérającém westchnieniem, lub gwałtownym, przeraźliwym wykrzykiem, nagle ucina, albo go w niemém osłupieniu, okropnym przestankiem gubi.

Nigdy nie słyszałem tak grzmiącego, tak zawsze natężonego, pełnego i mocnego głosu na żadnym teatrze. Bo jakkolwiek sławny aktor *Flek* w pojedyńczych scenach prawie w nadludzki sposób swój talent rozwijał, wszelako mowa jego była zawsze w uczłonkowanéj mierze czasu, głos jakkolwiek pełny i silny, był przecież jego

głosem naturalnym, i odpowiednie naturze używał on przestanków; w scenach pomniejszych namiętności, wypoczywał, a największe natężenie jego chociaż widza przestraszyć i zdziwić mogło, przecież nie siliło się na głos, któryby nie był w zakresie jego możliwości i któryby się okazał innym, niż go w życiu słyszano; głos jego był zawsze pełny i zaokrąglony, jak najpiękniéj urobiony, i w największym zapędzie nigdy z granic naturalności niewystępujący. U téj artystki zaś, piérwszy ton główny, na którym wszystko spoczywało, był już wzniesiony, rzekłbym nadludzki, a ta, już i tak przetężona struna, dała się jeszcze mocniéj, drażliwiéj, i jeszcze wyżéj aż do olbrzymiego dźwięku napiąć, a przecież nie czuć było ani wysilenia ani osłabienia, ani téż piskliwego lub chrypliwego głosu.

W scenach najwyższéj namiętności (w Machabeuszach), gdy matka widzi, że wszystkie jéj dzieci tyran zabija, gdy narzéka, grozi, złorzeczy, i znowu za ostatniém dziecięciem swojém błaga i litości wzywa, a przecież z heroiczną pogardą życia do poniesienia śmierci je zagrzéwa; wtedy twarz i wszystkie członki jéj były śmiertelném kurczem ujęte, jéj głos był rykiem, a całe przedstawienie téj sceny było tak straszliwym widokiem, na jaki się tylko najwyuzdańsza fantazyja zdobyć może. W téjże chwili zaraz padła w omdlenie i otrętwiałość, lecz jedynie dla tego, aby się jak wichr zerwawszy, wszystkie poprzednicze, przerażające swojego głosu wytężenia, tém okropniejszym i przeraźliwszym jeszcze tonem wydała. Któżby się zdziwił, gdyby po takich kilku-godzinnych nieustannych konwulsyjach, choroba, a nawet śmierć nastąpiła? Atoli taż sama niewiasta, o któréj sądziłeś, że już najwyższy szczyt i wszelkie dziwy swego talentu przed tobą rozwinęła, miała jeszcze tyle siły i mocy, iż po upływie krótkiego czasu (bo w piérwszym akcie francuzkiego Makbeta nie wchodziła) w nowéj, świéżéj, czérstwéj, odmłodniałéj postaci, znowu na scenę wystąpiła, i w téj olbrzymiéj roli, poprzedniczą rolę, jako mniéj znaczącą okazała. Głos jéj stał się prawie jeszcze czyściejszym i dźwięczniejszym, a w scenach, w których męża swego do mordu namawia, był słodkim, ujmującym, pochlébnym; lecz niedługo w najstraszniejszy wyraz wzgardy i gniewu się zamienił. W mistrzowski sposób różniła się tu dumna wysokomyślnéj niewiasty aż do szaleństwa i rozpaczy posunięta, od charakteru matrony w piérwszéj trajedyi; żaden ton, ani mina, ani żaden giest nie przypomniał piérwszéj sztuki; gniéw, wzgarda i szyderstwo były teraz całkiem innego rodzaju, a okropnie wygórowana namiętność, furyja złości, posunęły się do tego stopnia, iż obraz poprzedniéj trajedyi prawie całkiem zagasł w wyobraźni widza.

W scenie, gdy we śnie jako bezduszna idzie, nie miała różu na licach, a nawet je mocno jak ścianę wybieliła; szła z osłupiałym wzrokiem jak upior, jak straszydło, jak potworny, ruchomy posąg z kamienia. Widok ten był szkaradny i prawie do niezniesienia.

Słowem, widziałem tego wieczora najwyższy, w swojém ukończeniu najdoskonalszy, ale oraz najniedorzeczniejszy szczyt sztuki dramatycznéj, jaki tylko na téj drodze siła ludzka osiągnąć może. Przez jakiéżto koleje nie przechodził teatr, jakieżto wielkie na utorowanéj już drodze nie poprzedzały go talenta, jakażto głęboka, niespracowana z ognistą, twórczą fantazyją, z najprzyjaźniejszémi darami natury i z najzdrowszą siłą fizyczną, nie łączyła się nauka dla osiągnienia téj olbrzymiéj doskonałości kunsztu! Nic podobnego nie widziałem na teatrze paryskim ani gdzie indziéj, coby tylko z daleka z tém mistrzowstwem porównać się dało.

Atoli jakkolwiek tę grę nazwałem największą i najdoskonaléj ukończoną, z tém wszystkiém jest ona bezprzecznie najniedorzeczniejszą i najnienaturalniejsza jaka tylko być może. Gdyż natura i prawda były w niéj zupełnie zniweczone, a wszelka okropność i straszliwe wybuchy najwyższéj namiętności, tylko samowolnie jak igrzysko dla przestrachu użyte i na inne uderzające znaki zamienione, tak, iż takowe widowisko wyuzdaniem zgrozy i okropności, nienaturalną i dziwaczną potwornością nazwać się może. Zdumieniu nie było końca, a dusza widza nie znalazła ani mowy ani uczucia, w którychby wypocząć lub za strumieniem dramatu puścić się mogła. Byłato błyskawica po błyskawicy, piorun po piorunie i trzęsienie ziemi.

A przecież jak to jest pewna, że ostateczności zawsze się z sobą stykają, tak téż i to jest niezawodna, że jeszcze na żadnéj scenie nie powziąłem tak dokładnego wyobrażenia: jak Sofoklesa trajedyje grane i wygłaszane być powinny. Tento jest sposób i środek, jednakże tylko po mistrzowsku umiarkowany, którym przez poetyczną rozmyślność i łagodność, owę starożytną gracyję przestrachu i okropności, na jaw wywołać można. To podziwienie i zachwycający domysł z jednéj, równie jak i najdokładniejszy wstręt od téj najwyższéj nienaturalności z drugiéj strony, były także przyczyną, że uczucie moje było rozszarpane, i że w żadnéj chwili nie doznałem tego istotnego złudzenia, które nawet śród największéj okropności wstrząśnienia

nie tylko poetyczno-miłém, ale nawet niebiańsko-błogiém uczuciem być powinno.

Gdy teraz sam siebie pytam, ażali takowa gra odpowiada prawdziwéj, rodzimej trajedyi francuzkiéj, ażali Kornel, Rasyn, lub inny poeta pisał swoje wiérsze, aby je w ten sposob wygłaszano, odpowiadam najwyraźniej, że nie. Zamiar i duch trajedyi francuzkiéj, znaczenie i istota jéj, na téj drodze zupełnie upaść muszą, i gdyby dziwne mistrzowstwo to, powszechnie zamiłowaném zostało, nié masz wątpliwości, iżby na ten czas dla téj szkoły wcale nowe dramata utworzyć wypadało. Powaga i godność trajedyi francuzkiéj, spokojność a nawet oziębłość w namiętności, strumień słów pięknych, gdzieby proza częstokroć więcéj skutku sprawiła, konwencyjonalny sposób myślenia, nowoczesna przyzwoitość, grzeczność i uprzejmość, wszystko to sprzeciwia się temu sposobowi przedstawiania dramatu. Mistrzowstwo to, które ze wszech miar ukończoném nazwać należy, zbliża się znowu do onéj nieszczęsnéj mimiki w obmierzłych melodramatach, i również oddala się od konwencyjonalnéj gracyi i majestatu teatru francuzkiego jak i od prawdziwéj natury, i pomimo to wszystko, wpadając bezwarunkowo w przewrotność, daje nam wyobrażenie o spaniałości trajedyi greckiéj, która w saméj rzeczy ani tak, jak trajedyja Götego, Szyllera i Szekspira, ani téż jak trajedyja Kornela i Rasyna, graną i wygłaszana być powinna. Gdym przed kilką laty był w Paryżu na przedstawieniu *Horacyjuszów*, trajedyi sławnego Kornela, widziałem, iż aktorowie grali ja prawie zupełnie na ten sam sposób, jaki sobie już naprzód wyobrażałem, z tą jedynie różnicą, iż owa często przechwalona w niéj godność nie dosyć wielce była oddaną, a szumna, nadęta deklamacyja, częstokroć aż w wykrzywioną niedołężność wpadała. Jednakże wszystko miało stateczna postawę, która nigdy nie gięła, i takiemi były i duch i mowa i wygłaszanie i giesta, zgoła wszystko było tak harmonijne, iż ten ciasny sposob, dla narodu, który dłużéj niż od wieku do téj szkoły i maniery jest przyzwyczajony, mógł się umniczém przedstawieniem nazwać. Duchesnoi, jedna z najpierwszych aktorek, przedstawiała Kamilę. Ale jakżem się nie zdziwił, gdy w monologu w czwartym akcie, tuż przed kłótnią z bratem i śmiercią swoją, dowolnie i niespodzianie z téj maniery wystąpiła, i tym sposobem w oczach moich cały dramat zniszczyła! Słowa poety, uczucia, które w téj scenie wyraża, sa takież same jak cała sztuka; takież same i antytezy, opisy, bieg mowy, godność i przyzwoitość. Atoli artystka ta, jak gdyby zemdlona, rzuciwszy się na krzesło, wygłaszała długi monolog, jakby bez przytomności umysłu, prawie tak jakającémi, uciunanémi słowy, jak lady Makbet we śnie idąca, po zgłosce, osłupiałym wzrokiem w oczą przestrzeń patrząca, to znowu jak obłąkana, suknię skubiąca, jedno słowo połykając, a drugie tem mocniéj wykrzykując, zgoła, byłyto same przestanki, kurcz i przerwanie. Żadnego całkiem nie słyszałeś wiersza: a tę grę, która mnie się szaloną być wydawała, i która całkiem moję ladajaką złudę zniszczyła, okrywano hucznémi oklaskami! Byłem równie artystką jak i publicznością zdziwiony.

A jednak nadmieniona przedstawa w Paryżu, była tylko słabém przygotowaniem do tego, co panna George tu w Strasburgu olbrzymiemi siłami wykonała.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 11. i obejmuje: 1) Rozprawa o kartoflach (Ciąg dalszy). 2) Oléj źwierzęcy śmierdzący, jako lékarstwo przeciw motylicom bydła rogatego i owiec. 3) Uwagi Przemyślanina nad gorzelniami. 4) Artykuł konkursowy i rozprawa o fabrykacyi cukru z buraków i t. d. (Ciąg dalszy.) 5) Literatura.

Ner. 6. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Wspomnienia Semenowych powieści. 2) Młodość i doświadczenie. 3) Narodowy strój i taniec styryjski. 4) Klejnoty. 5) Wyjątek z listu J. Kraszewskiego do Redakcyi »Dziennika mód paryskich.«

Z listu z Wilna dowiadujemy się, że *Noworocznik* na rok bieżący, ochrzczony przez rozliczne pisma nasze *Wajdelotą*, wyszedł z druku tamże pod nazwą: *Linxminy* (tęczy, po litewsku), drukiem Zawadzkiego, nakładem Rubena Rafałowicza. Złożyli się nań: sam wydawca ks. Jucewicz, Józef J. Kraszewski, A. Pieńkiewicz i wielu innych znanych już pisarzy, lub nowo w ten zawód wchodzących. Zdobi go portret Żydka—poety, Judela Klaczka, którego jeden artykuł umieszczony także w *Encyklopedyi* Glücksbergów.

W Warszawie wyszło świeżo z druku ogłoszenie na oczekiwane już od dawna dzieło pod tytułem: *Górnictwo w Polsce, opis kopalnictwa i hutnictwa polskiego pod względem technicznym, historyczno-statystycznym i prawnym*, przez Hieronima Łabęckiego. Jestto pierwsze dzieło w tym przedmiocie w języku naszym, i według zdania uczonego, powszechnie w kraju znanego, łączy obok użyteczności i ważności przedmiotu, wielką gruntowność i znajomość rzeczy. Dzieło to obejmujące przeszło 60 arkuszy druku in 8vo *majori* z tablicami litografowanemi, na których około 60 figur, na pięknym papiérze, wyjdzie z druku w lipcu a najdaléj w sierpniu roku bieżącego.

W Pogroniu (w okolicy, gdzie rzéka Gron, Gran, płynie) silnie obudza się duch narodowy w oświeceńszéj klasie Sławaków. W mieście Zwoleń *(freye Bergstadt Altsohl, Vetusolium)*, jak się okazuje z styczniowych jeszcze wiadomości roku bieżącego, z największą skwapliwością zaczęto uczęszczać na teatralne widowiska, przedstawiane w wolne od zatrudnień chwile, przez młodych studentów. Szczególnie płeć żeńska znajduje w nich największe upodobanie. I od czasu tych widowisk dało się widzieć nadzwyczajne zamiłowanie ojczystego języka.

Wiadomo, że z liczby różnych narodów, żyjących w Panonii, Sławaki są najłagodniejsi, najpracowitsi, dobroduszni i przedsiębierczy. W Orawie (*das Arwacz Comit., Comitatus arvensis*) wyrabiają oni płótno, przedając je Niemcom, Węgrom i Turkom; wysyłają nawet do Jerozolimy, Kairu, Azyi i Afryki. Kamieniarze liptowscy corocznie zajmują się budowaniem domów dla Węgrów, a Sławacy pannońscy, co wiosny tłumnie udają się do Węgier na zarobek i wykonywują tam najtrudniejsze prace z ochotą, dla tego też u nich bardzo mało przestępców. W Liptowsku na 75,000 mieszkańców tylko 10 Sławaków w więzieniu, i to nie za ciężkie przewinienia; gdy tymczasem w właściwie węgierskich stronach, na takąż liczbę mieszkańców, zwykle przestępców uwięzionych liczą od 200 do 250. Zresztą, trzeba zważać, że po większéj części pijaństwo skłania do grzéchu dobrych Sławaków; wytrzeźwiwszy się, żałują z całego serca popełnionego przestępstwa; przytem wielka ilość handlów wódczanych wiedzie ich na pokuszenie.

Straszne meteorologiczne zjawisko w Ameryce południowéj. List pod dniem 25. grudnia 1841 r. z Karrakas, w londyńskim dzienniku *Standard*, zawiéra co następuje: »Wczoraj w wieczór, gdyśmy się

wszyscy zgromadzili do naszego salonu, usłyszeliśmy nagle łoskot przytłumiony. Sądząc, że to jest znakiem poprzedzającym trzęsienie ziemi, pospieszyliśmy na dwór z obawy, aby się dóm na nas nie obalił. Atoli jakżeśmy się nie zdziwili, gdy mnóstwo ludzi na ulicy oznajmiło nam, że na jednę z pobliżkich gór spadła ogromna ognista kula, poczém się na wszystkich wysoko położonych dzielnicach tegoż miasta, prawie nieznosny stopień gorącości rozwinął. Zjawiska tego rodzaju w nadmienionym kraju nie są osobliwością, jednakże takowe ogniste kule zwykle dotychczas w morze padały.

Pomnik księżnéj Jabłonowskiéj. *Gazetta di Venezia* zawiéra obszérne opisanie grobowca, który książę Ludwik Jabłonowski na pamiątkę swojéj w przeszłym roku w Wenecyi zmarléj małżonki, rzeźbiarzowi Luigi Ferrari wykonać polecił, a który teraz do wystawienia jest przygotowany. Cały ten pomnik ma niemal 5 stóp wysokości a trzy szérokości; atoli przestrzeń obejmująca płaskorzeźbę, nié ma więcéj nad jednę stopę i 10 cali wysokości a dwie stopy i 8 cali szérokości; przeto wydziwić się nie można, jakim sposobem na tak ograniczoném miejscu mógł artysta wykonać swój pomysł piękny. Księżna w siedzącéj postawie trzyma złożone ręce na piersi, przyciskając prawą ręką krzyż Chrystusa do swego serca, tymczasem anioł zlatujący z nieba, wzniesioną jéj głowę uwieńcza splecioną palmą. Nadmieniony dziennik wyświeciwszy gruntownie wszystkie zalety tego marmurowego pomnika, który od czasu śmierci Kanowy i prócz dzieł Thorwaldsena, dotychczas podobno nié ma sobie równego, przytacza zdanie barona Rumohr'a, znanego z pisma pod nazwą: *Badania we Włoszech*, który na widok tego artystowskiego dzieła wyrzekł: »iż jeszcze nigdy nie zdarzyło się mu widzieć lepszego dłuta roboty w marmurze, tak, iż Ferrari na téj drodze niezawodnie największy szczyt rzeźbiarstwa osiągnie.«—Nagrobek ten wystawiony będzie w Padwie, w kościele świętego Antoniego, przy ołtarzu świętego Stanisława Kostki.

Ogromne bogactwa. Pewny dziennik angielski wylicza w długim artykule najbogatszych ludzi w dawnym i teraźniejszym czasie. Udzielamy z niego niektórych szczegółów: Mazarin po swojéj śmierci zostawił 50 milijonów talarów, może największą sumę, którą jaki człowiek w nowszym czasie posiadał. — Kardynał Wolsey utrzymywał 500 sług, między którymi było 10 lordów a 15 kawalerów. Dochody jego wyrównywały prawie dochodom korony. — W Litwie umarł niedawno pan Tyszkiewicz, który swym trzem synom 2000 wsi i 10 milijonów w gotowych pieniądzach pozostawił — Do najmajętniejszych ludzi należy także książę Medina Celi; w całéj Hiszpanii nie masz aby jednego miasta; w którémby on nie miał pałacu, mógłby więc po całéj Hiszpanii, podobnie jak książę Butera po Sycylii, odbywać podróż, i każdego wieczora do swego własnego domu na nocleg zajechać. — Ubiór księcia Esterhazego podczas koronacyi królowéj angielskiéj, kosztował pół milijona złr.; same tylko sznury z przodu na piersiach z srébra i dyjamentów, przeszło 80,000 złr. kosztowały.

Człowiek żywcem pochowany. Don Jose de Gomez, umarł niedawno w Granadzie w Hiszpanii po długiéj, uporczywéj chorobie. Ciało jego złożone w trumnie drewnianéj, stósownie do obrządku katolickiego wystawiono w kościele świętego Mateusza na katafalku, i nazajutrz miało być pochowane. Atoli w nocy przebudza się mniemany umarły z letargu, wysadza z największém natężeniem u trumny wieko, czego dowodem są odgięte goździe i wyłamane deski, i wycieńczony na siłach, pada w śmiertelnéj szacie na stopniach przed wielkim ołtarzem, gdzie go przestraszony kościelny spostrzega. Prawda, iż ten ostatni spiesznie wezwał pomocy, atoli Don Jose de Gomez w skutek nadzwyczajnego wysilenia, a może i przestrachu, tymczasem istotnie skonał.

Ważna drobnostka. Wiadomo, iż konstytucyjny rząd francuzki, dla upoważnienia osoby, by jako deputowany dobro kraju zastępowała, 500 franków osobistego podatku od niéj wymaga. Z tego powodu pana Pelletier Dulas, deputowanego z *Château-Chinon* wykluczono niedawno z rzędu jego kolegów, ponieważ mimo wszelkich wykazanych dowodów, przekonano go, że mu do sumy, jaka ustawą jest przepisana, 14 centymów (niemal 4 kr.) nie dostawało.

Do dziejów podwiązki. Najdumniejszy naród na świecie ustanowił jeden z największych swych orderów na — podwiązce, którą hrabina Salisbury na galowym balu zgubiła, a którą król Edward III. znalazł i podniósł. Dotychczas znany jest starodawny zwyczaj we Francyi: *Dénouer la jarretière de la mariée*, z tą jedynie różnicą, iż przyzwoitość teraźniejsza zamiast prawdziwéj podwiązki, przestawać każe na różowéj wstążce, którą dziécię wlazłszy pod stół podczas uczty godowéj, pannie młodéj z dolnéj części nogi odwiązuje i oblubieńcowi oddaje. Gdy podwiązka, jakeśmy nadmienili, tak wysokiego dostąpiła zaszczytu, stała się wkrótce u znakomitych dam godłem wielkiéj wagi, zadatkiem miłości i poważania. Barwa jéj wyrażała alegorycznie najskrytsze uczucia ich serca, i była dobrą wróżbą dla kawalera, i tak, gdy otrzymał podwiązkę zieloną, był szczęściem swojém zachwycony, gdy zaś otrzymał różową, już był pewien zwycięztwa.

Dworskie bale w Paryżu. Na każdym dworskim balu bywa zwykle dwa do trzech tysięcy panów i pań. Wszyscy panowie występować muszą w mundurze, a przynajmniéj w ubiorach gwardyi narodowéj, jednym tylko deputowanym w skromnych czarnych frakach wstęp wolny. Najprzód siada do stołu płeć piękna, a mężczyźni siedząc po trybunach i łożach, przypatrują się temu spaniałemu widokowi. Wreszcie i na nich koléj przychodzi. Wtedy powstaje istotna heca. Każdy usiłuje wyprzedzić drugiego, trąca, gniecie, rozdziéra suknię, mundury, gubi kapelusz, epolety, harcop, laskę lub szpadę. We wszystkich salonach bawią się tańcem. Same tylko królewne mają prawo wezwania swych tancerzy przez adjutantów. Na jednym balu wydarzyło się, iż pewien młody, przystojny porucznik, nie chciał tańczyć z królewną: »Ja nie tańczę jak tylko z moją narzeczoną«, rzekł do adjutanta. Ten zaś miał tyle przytomności umysłu, iż go zapytał: »Nie jesteś wpan synem marszałka *Damremont*?« — »Nie.« — »A więc przepraszam, omyliłem się«, odrzekł adjutant. Poczém oznajmił królewnie, że to była omyłka, że ten przystojny porucznik z czarnémi wąsikami nie jest młody *Damremont*, lecz tylko narzeczony, *du reste fort peu galant*.

Anegdota. W Pradze na ostatniéj reducie upłynionych zapust znajdowało się osób 2700. Z tych jedna śliczna maseczka, podczas gdy grano niezmiernie głośno walca, zapytała drugiéj: »Jak się jéj podoba muzyka i czyli nie wié, kto ją ułożył?« — »Nie wiém«, odpowiedziała, »kto tę muzykę ułożył; ale powiadano mi, że to ma być nauczyciel śpiewu w szkole głuchoniemych.«
To donosi p. W. B. Nebesky w *Kwětach*. A...

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.